

Słowo Boże przyszło mi na pomoc

Świadectwo nawróconego księdza

Josepha Lulich

Nazywam się Joseph Lulich. Z radością dzielę się z Wami tym, co w moim życiu uczyniła łaska Boża. Piszę jako człowiek już podeszły wiekiem, który większość lat przeżył jako były ksiądz. Najpierw 14 lat wiernie służyłem kościołowi rzymskiemu, potem zaś Bóg używał mnie, abym głosił Jego chwalebny Ewangelię na jednym z obszarów tego potrzebującego świata.

Urodziłem się pod północno-wschodnią granicą Włoch, tam też spędziłem dzieciństwo. Wzrastałem w strasznej zawierusze I wojny światowej, lękając się przyszłości. Gdy miałem 12 lat, ojciec oddał mnie na nauki do klasztoru. Dobrze pamiętam pożegnanie z rodziną. Choć byłem jeszcze mały, w głębi serca mocno pragnąłem wewnętrznego pokoju; chciałem być księdzem i pomagać innym w ich fizycznych i duchowych potrzebach. Minęło kolejnych 15 lat. Cały swój czas poświęcałem nauce, modlitwie i dobrym uczynkom, szykując się do posługi kapłańskiej. Kiedy jednak przyszła chwila prymicji, odbywających się w moim rodzinnym mieście, odczułem gorzkie rozczarowanie. W mojej duszy nie było utęsknionego pokoju.

Strach

Formalnie przygotowano mnie dobrze: filozofia, teologia, kurs medyczny, języki, wytrzymałość na trudy fizyczne i duchowe. Przyjąłem święcenia kapłańskie, gotów po kres życia służyć kościołowi katolickiemu. I doznawałem tej samej udręki, jaką niegdyś przeżywał Marcin Luter. Długie miesiące postów, modlitw itd. nie dawały wcale pewności przebaczenia grzechów. Bałem się piekła i czyścica, lecz teologia mojego kościoła nie dopuszczała wątpliwości. Musiałem uznać jego nieomyślność i autorytet, zaufać jako jedynej drodze zbawienia.

W kontaktach z innymi spragnionymi duszami, które zwracały się do mnie o słowo pociechy, nie czułem się uprawniony, by przemawiać w imieniu

Chrystusa. Wielekroć na polu bitwy czy po bombardowaniu nie podnosiłem wcale ręki nad umierającymi i nie wymawiałem słów: „Ja odpuszczam twoje grzechy...”; mówiłem im za to o ukrzyżowanym Chrystusie – Odkupicielu. Patrząc wstecz, myślę, że byłem jak prorok Balaam, pod natchnieniem Ducha mówiący rzeczy, których sam nie pojmuję. Postępowałem właściwie wbrew swemu sumieniu, wbrew nauce, jaką mi przekazano. Podzieliłem się tym kiedyś z innym księdzem, który był mocno rozzarowany, że nie stosuję władzy, w którą wyposażył mnie kościół.

Po II wojnie przeszedłem wiele w komunistycznej Jugosławii. Nie będę opisywał cierpień fizycznych, powiem tyle, że dzień i noc towarzyszył mi strach. Co noc któregoś z moich towarzyszy zabierano w nieznanym kierunku. Myślałem, że jeśli komuniści mnie zabiją, to zostanę męczennikiem kościoła; jednak myśl ta nie rozwiewała niepewności co do przebaczenia grzechów. Prosiłem: „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za mną grzesznym w godzinie śmierci mojej”, ale nie opuszczał mnie strach przed sądem Bożym, piekłem i czyścem.

Radosna praca, bolesne zwątpienia

Po paru miesiącach zbiegłem do północnych Włoch; przeżyłem tam trzy lata pracując wśród ubogich. Zorganizowałem grupę tysiąca bezdomnych i bezrobotnych; dwustu dzieciom, w większości nieślubnym, zapewniłem żywność, odzież, szkołę. Ludzie narzekali na papieża, biskupów i kościół, ale mnie kochali, nie jako księdza, lecz dobrego, uczciwego człowieka. Ufali mi i słuchali mnie, choć biskupa z sąsiedniego miasta obrzucili kamieniami, gdy przyjechał z wizytą. Pamiętam, że gdy jednego dnia odprawiałem mszę pod gołym niebem, znalazło się na niej ponad 20 kobiet lekkiego prowadzenia, trochę komunistów i sporo ludzi żyjących w grzechu. Czytałem wtedy o spotkaniu Jezusa z cudzołożnicą, której rzekł: „Idź, a od tej chwili już nie grzesz”. Bardzo się wzruszyli, jak zresztą i ja. Pojąłem, że tylko Chrystus może przebaczać grzechy, a nie mogę tego ja, ksiądz. Zachęciłem, by poszli w jej ślady, udzieliłem im komunii. Wiedziałem jednak, że nauczam wbrew kościołowi. Nocami nie mogłem spać. A moi parafianie się zmieniali. W gazetach podawano zawsze dane o przestępczości w naszym rejonie – i w końcu w ogóle przestano je drukować. Wieczorami młodzież śpiewała: „Chrystus Królem”.

W 1950 roku zostałem kapelanem na włoskim statku pasażerskim kursującym po całym świecie. Zawijaliśmy do portów Azji, Afryki, Indonezji, Australii. Toczyłem wewnętrzną walkę, biorąc każdą wątpliwość za dzieło diabła. Kiedyś pierwszy raz w życiu natknąłem się na protestantów. Zawsze słyszałem, że gałęzie odcięte od Chrystusa nie przynoszą owocu, a gałęziami takimi są protestanci. Ale ja dostrzegłem u nich wiele dobrego. Nie zapomnę jednego Bożego Narodzenia pośród Oceanu Indyjskiego. Nie zdołałem zorganizować chóru i pięć protestanckich dziewcząt zapytało, czy mogą zaśpiewać kolędy. Wszyscy katolicy bardzo się występnym wzruszyli, a najmocniej ja. Wewnętrzny konflikt narastał; moja wiara i zaufanie do kościoła katolickiego słabły. Musiałem je odświeżyć.

Słowo Boże przyszło mi na pomoc

Aby zrozumieć moje lęki i zwątpienie, trzeba wiedzieć, że jako katolicki ksiądz nie miałem nigdy przedtem do czynienia z protestantami, stąd bałem się, że będę teraz o to oskarżony i zesłany na całe życie do jakiegoś klasztoru na krańcu świata. Straszliwe sztormy, jakie przeszedłem na Atlantyku, były niczym wobec zawieruch w mej duszy. Nie wierzyłem już w autorytet kościoła – lecz gdzie miałem szukać ratunku?

Wtedy Słowo Boże przyszło mi na pomoc, stając się duchowym źródłem mocy i odwagi, abym mógł stanąć naprzeciwko światu. Wyraźnie przemówiły do mnie proste słowa Jezusa, a Duch Święty oświecił moją duszę, dając pokój płynący z odpuszczenia grzechów i radość, jaką tylko Bóg może dać człowiekowi wierzącemu w słowa: „Jamci jest ta droga, i prawda, i żywot; żaden nie przychodzi do Ojca, tylko przez mię.” (J 14,6). Ufność, że to Jezus daje zbawienie, nadała kierunek memu życiu. Tylko Chrystus mógł dać mi prawdę i tylko w Nim mogłem otrzymać życie, radość, pokój i sens.

Musiałem opuścić oficerów i załogę. Bardzo mnie pokochali- ale nie potrafili pogodzić się z moją decyzją. Musiałem skryć się przed przełożonymi, rodziną, przyjaciółmi. Jako człowiek objęty ekskomuniką byłem nikim, nie miałem pracy, zamykały się przede mną wszystkie drzwi. Lecz – chwała Bogu – pokój w duszy pozwolił mi bez lęku przetrwać ten okres życia.

Pan się wiernie o mnie troszczył

Wyjechałem do Kanady, gdzie przez dziewięć miesięcy pracowałem w szpitalu jako pielęgniarz. W porównaniu z rejsem na pokładzie pierwszej klasy statku oceanicznego była to praca ciężka. Gdy nie przedłużono mi wizy, wróciłem do Włoch i jakiś czas mieszkałem z siostrą, uciekinierką polityczną. Rodzina naciskała, abym wrócił na łono kościoła rzymskiego, bo nie dam sobie rady. Wtedy to natknąłem się na dwu nawróconych księży (dziś pastorów ewangelikalnych). Dobrze rozumieli me położenie i bardzo mi pomogli. Dostałem pracę nauczyciela w sierocińcu; skontaktowano mnie też z Zachodnim Kolegium Biblijnym w Stanach Zjednoczonych, dokąd wkrótce udałem się na studia biblijne. Był to dla mnie czas wzrostu duchowego i poszerzania wiedzy akademickiej; za pośrednictwem uczelni zapoznałem się z kilkoma miejscowymi kościołami. Czułem, że muszę wrócić do Włoch na misje. I tak zrobiłem, a Pan wiernie dbał o me potrzeby, tak że w ciągu ostatnich 25 lat tylko raz byłem zmuszony jechać do Stanów.

Po powrocie do Włoch otrzymałem od Pana wierną towarzyszkę i długoletnią współpracownicę w dziele Ewangelii: moją żonę Agnes. Z powodów rodzinnych trafiłem z powrotem tam, gdzie przed laty pełniłem posługę katolickiego kapłana. Tym razem praca okazała się nader trudna. Ciągłe kontrolowała nas policja. Ostro występował przeciw nam biskup, starając się nas stamtąd wyrzucić. Mieszkańcy nienawidzili nas. Musiałem ścierać plwocinę z drzwi do skromnego miejsca spotkań i zamalowywać brzydkie napisy na murach.

Głos na pustyni

Z czasem zdobyliśmy jednak zaufanie ludzi. Po czterystu latach od chwili, gdy prześladowania wyгнаły stąd ostatnią rodzinę ewangelikalną, Pan dał nam zaznać radości z kościoła rosnącego ku Jego chwale w miasteczku Rovigo, gdzie mieszkam po dziś dzień. Wiedziałem, że z powodu mojej przeszłości jestem najgorszym z możliwych kandydatów, których Bóg mógłby wykorzystać w tak nieprzyjaznym otoczeniu. Miłosierny Bóg potrafił jednak uczynić ze mnie swe narzędzie.

Nasz kościół to spora grupa, w tym wiele młodych małżeństw. Rośniemy w Panu. Kiedy położył nam On na sercu sprawę rozwoju, musieliśmy pokonać obojętność i niechęć otoczenia. Pan pozwolił nam uruchomić własną stację radiową, rozwijającą się pomimo licznych trudności.



Ukradziono nam sprzęt, lecz On okazywał nam dobroć i poprowadził do zwycięstwa. Liczne listy, jakie do nas przychodzą, dowodzą, że radia się słucha, i to z przyjemnością, my zaś nadal pracujemy nad jakością naszej posługi dla bliźnich, którzy żyją w

ciemności, tak jak niegdyś żyliśmy i my. Jak sugeruje nazwa naszej stacji radiowej, chcemy być jak Jan Chrzciciel „Głosem na Pustyni” i wskazywać ludziom na Baranka Bożego, jedyne, który może zglądzić grzechy świata.

Joseph Lulich, nawrócony ksiądz

Pod koniec 1996 roku brat Lulich odszedł do chwały Pana. Do końca był energicznym głosicielem dobrej nowiny Ewangelii. Jego wieloletnia służba w postaci osobistej ewangelizacji i audycji radiowych przyniosła bogate owoce dla Pana.

(Przekład całego świadectwa: Aleksandra Czwojdrak i Meciej Wierszyłowski. Opublikowane w książce „Daleko od Rzymu...” (Bennett/Buckingham), Warszawa 2004. Tekst w załączniku został przetłumaczony z języka niemieckiego za pomocą DeepL.com (wersja darmowa).

Wykorzystano polskie tłumaczenie Biblii zatytułowane „Biblia Gdańska (1881)”.